GŁOS WOLNY.

GLOS WOLNY wychodzi trzy razy na miesiąc; 10go, 20go i 30go każdego miesiąca. Cena prenumeraty trzymiesięcznéj wynosi szyl. 3 i d. 6, czyli fr. 4 cent. 50, czyli złp. 7. Cena pojedynczego numeru w biórze redakcyi d. 4.

N 139.

Dnia 22go Maja 1867.

Prenumerować można: w Redakcyi, u Ant. Żabickiego, 1, Sandwich Str Burton Crescent, W. C. London; u kasyera Komisyi Opiekuńczéj Winc. Grochowskiego, 46, rue Bénard, Batignolles, à Paris; i w księgarni K. Królikowskiego 20, rue de Seine. à Paris.

ZJEDNOCZENIE EMIGRACYI.

Do wad, które nam cudzoziemcy nie bez słuszności wyrzucają, należą niezaprzeczenie: sejmikowanie, prawomania i urzędomania. Ile razy zamierzamy jakąkolwiek zbiorową pracę, nie myślimy o możliwych, praktycznych jéj stronach, nie zdajemy sobie rachunku ani z żywiołów, które pod ręką mamy, ani z tych, które nas otaczają, ale zaczynamy od szumnych programatów, od ustaw podzielonych na niezliczone tytuły, rozdziały i paragrafy, od stanowienia wszelkiego rodzaju urzędów, ażeby wkrótce po tém schować i ustawy i urzęda do kieszeni, i skończyć . . . na niczém. Tak się stało z Towarzystwem Wzajemnéj Pomocy i z Towarzystwem Literackiém w Paryżu, które po długich mozołach ustawodawczych przeszły bez śladu do wieczności, pozostawiając jednę tylko pamiątkę: zarozumiałości i pieniactwa.

Czyż taka kolej czeka teraźniejsze Zjednoczenie?

Kiedy rok temu zanosiło się jak dzisiaj na wielką, europejską wojnę, odezwał się w znacznéj części Emigracyi instynkt porządku i ładu. Jakiekolwiek stanowisko Emigracya zająć mogła w ogólnym rozwoju sprawy narodowéj, zrozumiano wówczas, że rozprzężenie, anarchia, podział Emigracyi na rozmaite kółka i koterye, były najwyższą sprzecznością z męczeńskim majestatem Polski i zupełném rozbrojeniem wobec groźnego nastrojenia Europy.

Ztąd téż wyrodziła się myśl ujęcia w zorganizowaną całość téj przynajmniéj części Emigracyi, która obowiązki narodowe nie tylko w słowach ale i w czynach pokazać chciała. Ztąd powszechne życzenie, ażeby na czele Zjednoczonéj Emigracyi stanęła instytucya mogąca odpowiedzieć naglącym potrzebom chwili i zaprowadzić ład tam gdzie dotąd rozprzężenie gościło.

Rzecz niesłychanie trudna do osiągnienia między ludźmi, których nieszczęścia krajowe wyrzuciły na świat bez myśli, bez celu, bez zrozumienia miejsca, jakie zająć mieli wśród obcych. Rzecz niesłychanie trudna tam gdzie zarozumiałość i lekkomyślność, wyniesione z ostatniego powstania, upierały się przy wszystkich swoich rozczynach i nie czuły się w obowiązku złożenia na ołtarzu ojczyzny dowodu téj zgody i wyrozumiałości, które jedynie mogły wpłynąć zbawiennie na massę emigracyjną, poczciwą i poświęconą, ale surową i nierozważną.

To téż wybór pierwszego Komitetu Zjednoczenia przekonał, że w mętnéj wodzie ryb łowić nie można. Pokazało się, że tak nazwane powagi młodéj emigracyi, które do Zjednoczenia przystąpić raczyły, po trzech latach wygnania niczego się nie nauczyły i niczego nie zapomniały za granicą; że ten sam duch zaściankowéj polityki, szlacheckich i parafialnych zazdrości nie dopuszcza szczerego i braterskiego połączenia poważnéj i zasłużonéj przeszłości emigracyjnéj z teraźniejszemi potrzebami, a następnie, że jest najwyższą przeszkodą do wyrobienia jakiéjkolwiek bądź zgody między nami.

Komitet złożony z różnorodnych pojęć i usposobień, ciągniony w obałamucenie teoretyczne przez jednych, a w przesadę swego znaczenia przez drugich członków, miał jednak ważny bardzo obowiązek do spełnienia, gdyż powinien był przede wszystkiém pokazać Zjednoczonéj Emigracyi, że chociaż w trudnych okolicznościach zrodzony, chociaż poróżniony pojęciami, pojmuje jednak, że piérwszym warunkiem wszelkiéj instytucyi wykonawczéj, wszelkiéj władzy czy komitetu, a przede wszystkiém Komitetu Zjednoczenia, jest zgoda, jest jedność w każdym czynie zewnętrznym. Ale na to potrzeba było prostego, zdrowego rozsądku, a tam byli kapłani "prawdy chrześciańskiéj," teoretyczni zwolennicy miłości i braterstwa.

Z takiego źródła wyszedł podwójny projekt "organizacyi Wychodztwa Polskiego." Rozsądek publiczny Zjednoczenia, zgorszony taką dwoistością jednego ciała politycznego, cóż ma dzisiaj do czynienia? Obalić obydwa projekta a postawić nowy, trzeci, nie jest rzeczą możliwą, jeżeli kto ma na względzie ocalenie Zjednoczenia i postawienia na jego czele co prędzéj nowego komitetu, złożonego z ludzi, którzyby siebie i Zjednoczenie rozumieli. Wszelkie nowe projekta, wszelkie doraźne, przemijające reformy czy to komitetu czy to trybu do przeprowadzenia ustawy wskazanego, będą tylko nowém obałamuceniem ogółu, nowém rozdwojeniem, a co najmniéj nową stratą czasu.

Czyż nie właściwiéj, nie skuteczniéj będzie, jeżeli Zjednoczenie, odrzuciwszy projekt mniejszości, jako nacechowany niezrozumieniem ani położenia emigracyi ani warunków służenia sprawie narodowéj(*), porobi nad projektem większości niezbędne uwagi i przyjmie go jako prawo obowiązujące na teraz, jako punkt wyjścia z teraźniejszego nieładu? Ta czynność przy rozwinięciu całéj gorliwości trzech członków Komitetu i przy pomocy, jakiéj zażądać mają prawo, mogłaby być dokonaną w przeciągu dwóch miesięcy, licząc od 31 maja czyli od terminu zamknięcia uwag nad ustawami, a w trzecim już miesiącu możnaby przystąpić do nowych rozważniejszych jak ostatnie wyborów Komitetu. Powtarzamy, kto tylko nie chce obalić Zjednoczenia, ten innego trybu szukać nie powinien; wskazuje to prosty a zdrowy rozsądek.

Tym czasem gdybyśmy miarę brać mieli o usposobieniu Zjednoczenia z tego, co się w Paryżu dzieje, choroba, którąśmy uważali za przemijającą, przybierałaby wszystkie znamiona choroby chronicznéj, nieodzowną śmiercią Zjednoczeniu grożącéj. Przykład rozdwojenia dany przez Komitet sprowadził już swoje nieuniknione następstwa:

(*) Zobacz *Głos Wolny* z 20 marca Nr. 136.

pzojektomanią, chaos i rozjątrzenie. Oczywiście, że rozsądek przemaga, że zdrowsze pojęcie obecnego położenia i środków wyjścia z niego, przemaga jeszcze; ale jeżeli duch zaściankowéj anarchii prędko skarconym nie zostanie, obałamucenie umysłów, bardzo skłonnych do tego, może się rozwinąć na szkodliwą skalę i zwichnąć nareszcie dzieło, poczęte w dobréj wierze, w skromnych a pożytecznych rozmiarach.

Nie wspominając już o innych, zakulisowych zabiegach, przytoczyć musimy dwa okólniki, pochodzące od dwóch gmin, a z jednego źródłą natchnienie czerpiące.

Gmina La Villette, na którą ksiądz Żuliński przeważny wpływ wywiera, przyjmując projekt mniejszości Komitetu, wydrukowała okólnik pod datą 28 kwietnia, w którym wnosi: 1° ażeby przez nią zaproponowana ustawa za obowiązującą bezzwłocznie ogłoszoną zoztała; 2° ażeby natychmiast nowe wybory do Komitetu zarządzone były; 3° ażeby w przedmiocie innych poprawek ustawy wybrano komisyą z 7 czlonków, to jest trzech przez większość Komitetu, trzech przez jego mniejszość a siódmego przez owych sześciu. "I oto co gmina La "Villette uważała za święty obowiązek przedstawić Ko-"mitetowi, ażeby wnioski jéj do decyzyi ogółu podanemi "były." Święty obowiązek nakazywał nowego skandalu nie drukować.

Drugi okólnik pod datą 15 maja pochodzi od gminy Montparnasse. Zaręczano nam, że taka gmina nie istnieje wcale i że jest wymysłem bujnéj imaginacyi pana Świętorzeckiego, który innemi sposoby i na drugim końcu Paryża chciał koniecznie odegrać tę samą rolę co ksiądz Żuliński na La Villette. Ale mniejsza o to. Wójt owéj gminy Montparnasse i jéj sekretarz w imie Summ Litewskich zaklinają Emigracyą, ażeby projekt mniejszości Komitetu przyjęła. Gdzie Summy Litewskie tam pan Świętorzecki, i przeciwnie, gdzie pan Świętorzecki tam Summy Litewskie. To cały sekret. To najważniejszy argument patryotycznéj gorliwości. Smutnie to i nędznie wygląda, ale tak jest.

POKÓJ DYPLOMATYCZNY.

Sprawa Luxemburgska skończona. Dyplomaci zgromadzeni w Londynie podpisali traktat, mocą którego spór podniesiony projektem zakupienia przez Francyą księstwa Luxemburgskiego tym czasem załatwiony został. Francya nie może nabyć księstwa, gdyż istnienie jego odrębne i neutralne zaręczone zostało *zbiorowo* przez państwa podpisujące traktat. Powiadamy, zbiorowo, albowiem Anglia wyraźnie oświadczyła, że nie myśli brać *osobiście* żadnego zobowiązania względem kraiku, który nie ma warunków odrębnego bytu. Przy téj sposobności Anglia stanowczo oświadczyła, że w razie nastawania z jakiéjkolwiek bądź strony na niepodległość Belgii, ona, Anglia bronić będzie téj niepodległości choćby sama. Belgia więc może być teraz spokojniejszą.

Prussy tyle straciły przez traktat Londyński, że są obowiązane wyprowadzić swéj garnizon z twierdzy Luxemburgskiéj. Co do téj będzie ona zburzoną, ale o tyle tylko, o ile król Holenderski, jako książę Luxemburgski, osądzi za właściwe. Księstwo nie przestaje należeć do unii cłowéj z Niemcami, co zapewnia Prussom utrzymanie dawnéj przewagi w kraju, który nie ma innych interesów i innych potrzeb nad handlowe i fabryczne.

Takie załatanie dyplomatyczne nie zadowolniło nikogo. Pan Bismark nie traci nadziei, że Luxemburga nie wypuści. We Francyi nieukontentowanie pokazuje się nawet w sferach rządowych. To téż uzbrojenia i przygotowania wojenne idą swoim torem. Cesarze, królowie i książęta zjeżdżają się na Wystawę do Paryża, gdzie wszyscy zaręczać sobie będą wieczną i serdeczną przyjaźń. To będzie na widoméj scenie. Za kulisami zaś ostrzenie pałaszy, lanie kul i gwintowanie dział. To pokój dyplomatycpny.

Z ROKU 1866 RACHUNKI.

PRZEŻ B. BOLESŁAWITĘ.(*)

I.

Najważniejszą przeszkodą do zrozumienia się wzajemnego, a więc do wyrobienia przeważnéj siły moralnéj, któraby pracom narodowym dojście do głównego celu niezmiernie ułatwiła, jest ciągły, utrzymujący się brak sprawiedliwości, brak nawet najpospolitszego szacunku i uznania dla przeciwników naszych. Ludzie chcący uchodzić za najbardziéj wyrozumiałych, oględnych i sprawiedliwych, wyglądają jeszcze jak hiszpańscy moderadosy, którzy przeciwników swoich, exaltadosów, co najmniej na poszarpanie dzikim bykom rzucić są gotowi w każdéj chwili.

Autor świeżo wydanéj książeczki pod tytułem: "Z roku 1866 Rachunki," jest takim moderadosem hiszpańskim. Znakomity pisarz, gorący patryota, szlachcic liberalny, umiarkowany polityk, szczery chrześcianin, a do tego katolik, "zarecza, że nienawiści ku nikomu nie ma w sercu, zemsty nie rozumie, żalu nie dopuszcza, a serdeczna miłość dla wszystkich gości w piersi jego." (Str. 15.)

Tymczasem na str. 208 "Rachnuków" tak ocenia pismo nasze: "Skandale któremi żyje taki na przykład *Głos Wolny*, posuwający się aż do denuncyowania nieprzyjaznych sobie ludzi, obudzają pogardę i wstręt. Ten organ wielkiego politycznego blagera, który dziś do nieboszczyków należy i ani niebezpiecznym ani ciekawym nie jest, a co najwięcéj śmiesznym, dałby się chyba porównać z *Dziennikiem Warszawskim* i śmieciskiem jego korespondencyi. *Dziennik* téż czasem go przywodzi i oba bezwstydem rywalizują."

Otoż jest sumienne, sprawiedliwe i uczciwe ocenienie, napisane bez nienawiści, bez zemsty, bez żalu, z serdeczną miłością dla wszystkich. Cożby to było, gdyby nas ten "drogi i kochany" Bolesławita nienawidził, gdyby się chciał pomścić na nas za to chyba, że o nim, jako o wielkim polityku, o wielkim mentorze Polski, nic dotąd nie mówiliśmy.

Widać że pan Bolesławita ani jednego numeru naszego pisma nie czytał, że usłyszał o niém od którego z członków bractwa Zmartwychwstańców lub Ś. Wincentego a Paolo, a najprędzéj że je poznał z *Dziennika Warszawskiego*. Inaczéj byłby się może cokolwiek zarumienił, nimby zionął jadem złości na ludzi, którzy jako ludzie bardzo błądzić mogą, ale których wytrwała i uczciwa służba w sprawie narodowéj żadném hańbiącém porównaniem nadwerężyć się nie da.

Nie wiemy, co o nas *Dziennik Warszawski* pisze; nic nas to nie obchodzi. Organ moskiewskiéj nienawiści, moskiewskich zbrodni i fałszów, nie jest w stanie wyrzec o nikim, a szczególnie o Polsce, o Polakach, słowa prawdy. Wszystko czego się dotknie, musi splamić, przekształcić, na swéj własny krój przerobić, inaczéj nie dostałby strawnego od swoich panów. Obojętném nam jest przeto, co o nas ten organ spodlenia prawi.

"Wszakże mieliśmy przykłady naszych pisarzy, jak Lelewel, użytych przez Mollerów podstępnie za broń przeciwko nam, ale jakiż był skutek tego Milutynowskiego arcydzieła, mającego przekonać o naszém zacofaniu a o postępowości Rossyi Europę. Europa nie czytała Mollera, a ludzie co mieli cierpliwość przegryźć się przez tę tkaninę fałszów do końca, doskonale ją ocenili. Ani Rossya ani Milutyn nie zyskali przez to jednego nawet przyjaciela, Polsce nie przybył wróg żaden. *Z obawy więc, aby nieprzyjaciele nie korzystali z tego co my sami sobie wyrzucać możemy, nie pisać, jest rachubą fałszywą a może grzeszną.*" (Rachunki, str. 14.)

Ale co nam obojętném nie jest i być nie może, to to, że są ludzie, liczący się do świeczników narodu, do wybrańców inteligencyi krajowéj, do oblubieńców *wyższych warstw* społeczeństwa polskiego, którzy czy przez zapomnienie, czy przez złość, czy przez chęć utrzymania swojéj popularności w owych wyższych warstwach społeczeństwa naszego, jątrzą zamiast goić rany, drażnią zamiast łagodzić umysły, złorzeczą zamiast wytykać błędy, prze-

(*) Poznań, nakładem księgarni Żupańskiego, 1867. Cena 8 franków.

kręcają myśli i fakta zamiast szukać w nich dobréj woli i właściwego znaczenia.

Barbarya Moskiewska tak jest dzisiaj rozwściekloua przeciw Polsce; Car, Katkow, Milutyny, Czerkascy, Murawiewy, Kaufmany i cała zgraja carskiéj falangi tak potrafiły rozniecić nikczemne instynkta długą niewolą spodlonego ludu Moskiewskiego, że dzisiaj żaden uczciwy człowiek nie może tam wystąpić w obronie jakiéjkolwiek ofiary, nie może zgromić żadnego gwałtu, żadnéj niesprawiedliwości, ażeby nie rozpoczął od położenia przyjętéj powszechnie zasady, że naród Polski wytępionym być musi. Miałżeby pan Bolesławita widzieć się w konieczności krzywdzenia i szkalowania swoich przeciwników, ile razy posłuchania u szlachty polskiéj potrzebuje; miałyżby jego namiętne a więc niesprawiedliwe napaści na "rewolucyonistów" torować mu drogę do łaski "u ludzi zimnego serca i rozumu, u zacnych ludzi porządku, u tych co nigdy nawet myślą przeciwko prawéj władzy od samego Boga postanowionéj nie zgrzeszyli?"

Tak by się zdawało. Ta myśl przebija się na wielu kartach najnowszego dziełka pana Bolesławity. Emigracya nie ma prawa mieszać się do spraw krajowych; niechaj siedzi spokojnie, uczy się i pracuje. *Głos Wolny* denuncyator, to wspólnik *Dziennika Warszawskiego*. "Ostatnie powstanie może tę *jedne* korzyść rzeczywistą—niestety, okupioną zbyt krwawemi ofiarami—przyniosło, że wyzwoliło nas z pod panowania takich ludzi jak *ś. p. jenerał Ludwik i consortes* .... Marzycieli jemu podobnych nie wielu mamy i bez wpływu . . . kraj więc obawiać się od nich nie ma czego." (Rachunki, str. 135.)

Oczewiście, że takiemi "pewnikami" poprzedzony, "nasz drogi i kochany Bolesławita" znajdzie wszędzie otwarte podwoje Wielmożnych, Jaśnie Wielmożnych i Jaśnie Oświeconych, i mile zostanie przyjętym, prawdziwie po staro-szlachecku. Ale autor "Rachunków z 1866 roku" nie dzisiaj dopiero ściele sobie drogę *porządnéj i rozumnéj* popularności. Ubogi szlachcina w młodości, przez 30 lat pracował gorliwie, mozolnie i niezmordowanie, ażeby dowieść dwóch rzeczy: 1° że w kraju nie koniecznie potrzeba konspirować, narażać się na więzienia i Sybir, ażeby być wielkim patryotą i bardzo popularnym obywatelem, że można tych dwóch zaszczytów dostąpić, trzymając się najściśléj praw obowiązujących, chociażby one prawami Moskiewskiemi były; 2° że byleby umieć zająć czytelników powieściami dobrze usnutemi a gładko napisanemi, to i pod cenzurą moskiewską literatura polska może stać się obfitą niwą. Tak było przez lat 30, po upadku powstania Listopadowego. Kiedy przez cały ten peryod Emigracya z małemi wyjątkami wołała: Powstanie! "nasz drogi i kochany Bolesławita" wołał: *precz z powstaniem!* i bardzo dobrze na tém wychodził. Jego książki czytano po wszystkich dworach—zachwycano się niemi.

"W historyi upadku i bezsilnych naszych pokuszeń podźwignienia się—pisał w 1859 r.—zapisane są imiona wierne i zacne, co nie sprzeniewierzyły się do końca; co było najgodniejszego, najpoczciwszego, upadło z mieczem w ręku, rozpierzchło, rozpaczone, oszalałe.

"Każdy taki poryw heroiczny kosztował więcéj daleko niż się zdawało, wybierał nasienie przyszłości. Upadek dzisiejszy winniśmy nie tyle prześladowaniom i uciskom, jak raczéj świętym, poczciwym, bohaterskim, ale nieopatrznym pokuszeniom, w które nas boleść rzuciła, a cierpienie nad siły pchnęło.

"To co się uchroniło po kątach mniejszéj było wartości, i nie wiele mogło zrodzić dla przyszłości. W pierwszych chwilach, i za grzech nam tego poczytywać nie można, bo błąd był bohaterski, źleśmy pojęli położenie nasze. Zdawało się nam, że zwyciężeni siłą, siłą powinniśmy straty odzyskać, zapomniawszy, że w sprawie ducha, najgorszą ucieczką jest odwołanie się do barbarzyńskiéj siły pięści. Sprawa nasza, posłannictwo, znaczenie, nie były wedła ciała, ale wedle ducha, i ilekroć też uciekliśmy się do pięści, zgnieciono nas mimo olbrzymich wysiłków, traciliśmy ludzi przenajdroższych dla przyszłości, a nie zyskiwaliśmy nic prócz mogił, które dziś łzami oblewać musimy. Może dopiero teraz rozpatrzywszy się w położeniu naszém, jaśniej widoczna, żeśmy tu pobłądzili niezmiernie; w sprawie ducha, na duchu się zbroić i wzmacniać, duchem walczyć, olbrzymieć i dźwigać się i działać było potrzeba. Czemu żaden oręż nie podoła, byłaby siła ducha zaradziła; uniknęlibyśmy może męczeństwa, alo krew ta byłaby płodną. Tym czasem w pokuszeniach rozpaczy samiśmy najdroższe skarby nasze na łup oddali, i zostaliśmy bezsilni. Nie jedno z tych serc, co bić przestało pod Raszynem, Maciejowicami, Pragą, Grochowem, Ostrołęką i t. d. poniosło z sobą do mogiły iskrę, tchnienie, świętych podań przekaz, których nic dla nas nie odrodzi." (*Wieczory Wołyńskie*, str. 151, 152 i 153.)

Takiemi to sofizmatami karmiono przez lat 30 pokolenie szlacheckie; takiemi upiorami patryotycznemi straszono Polskę, dając jéj w nagrodę upamiętania się żywota świętych, modły trapistów lub biesiadę Towiańskiego, wtenczas kiedy mogiły Zawiszy, Konarskiego, Lewitu, Wiszniewskiego Żarskiego i tylu innych apostołów-męczenników uprawiały wnętrzności narodu i świadczyły o nowéj myśli odrodzenia. To téż kiedy nadeszła chwila zmartwychwstania, stanęły po jednéj stronie białe anioły z pod ciemnéj gwiazdy, wołając za Carem: "precz z marzeniami, precz z powstaniami," a z drugiéj czerwone duchy, rozrzewnione niedolą kraju, rozgorączkowane poświęceniem, ale niepewne siebie, opuszczone przez "rozumych patryotów," szukające wszędzie pomocy, ratunku, nawet u wiecznych "grabarzy Polski."

Dziś po strasznéj powodzi lat ostatnich, wśród okrutnéj biesiady tryumfującego barbarzyństwa, "nasz drogi i kochany Bolesławita" podnosi na nowo pieśń Wieczorów Wołyńskich i woła: "precz z rewolucyami, precz z powstaniami;" "szkółki zakładajcie, powieści piszcie, a dla Emigracyi trochę . . . litości miejcie."

"Porozumijmy się—pisze Bolesławita—nie idzie nam wcale o ducha rewolucyjnego, bo *wszelkie* rewolucye są nam nienawistne, i gdybyśmy ich mniéj robili, daleko byśmy byli daléj zaszli; pomiędzy duchem rewolucyi a duchem narodowym jest rozstęp ogromny.

Gdzie indziéj zaś powiada: "rewolucya jako rewolucya jest dziś zdyskredytowaną, a dla nas wstrętliwą, i wiemy że ona jest *zawsze*, choćby jako malum necessarium, chorobą straszną, a często śmiertelną. . . . Świat się przekonał o bezużyteczności spisków i tajemnych stowarzyszeń, które się stały *dziecęcą zabawką*."

W innem miejscu znowu: "Możemy przestać na chwilę marzyć o Polsce z 1772, a mimo to, pragnąć i starać się uchować w niéj co było Polskiego—i pamiętać o obowiązkach braterstwa . . ."

Nie jestże to najwierniejszy odgłos Wieczorów Wołyńskich? A więc ostatnie wypadki narodowe niczego nie nauczyły pana Bolesławity? A więc rozpoczniemy na nowo bratobójczą obojętność białych, nie rozumiejących wielkiego przebudzenia się narodu w 1861 r., zakładających sobie spokojnie, legalnie ręce, kiedy czerwoni zostali opuszczeni albo zdradzeni?

Nie wiemy, kiedy i kto dożyje momentu nowéj walki z wrogami. Dziś za nadto przywaleni jesteśmy świeżemi klęskami, ażeby nam wolno było pocieszać znękane dusze nasze nadziejami prędkiego wyzdrowienia na duchu i na umyśle. Ale wierzymy z całą siłą przekonania, że ten moment znowu nadejdzie. Zwyciężeni jesteśmy nie prawdą, sprawiedliwością i wyższością, ale gwałtem, barbarzyństwem, przemocą. Myśl wywieszona 22 Stycznia a tylu potokami krwi uświęcona, ma wielką przyszłość przed sobą. Teraźniejszy upadek, znużenie i odrętwiałość przeminą. Nowy duch wolności i braterstwa obwionie pokolenia, praca odrodzenia rozwinie się mimo wszelkich szałów odstępstwa i znikczemnienia. Duch Polski, duch wiary i poświęcenia odżyje znowu, gdyż on potrzebnym jest dla wyroków Boskich. W cóż się wtenczas obrócą teorye Bolesławity? Czyż znowu będzie rzucać kamieniem na tych, co marzyć będą o rewolucyi i powstaniu? A jeżeli nie, czyż godzi się potępiać dzisiaj to, co jutro wielbić będzie potrzeba? Nie lepiéjże, nie patryotyczniéj by było, pracować wspólnie dzisiaj nad tém co mamy dzisiaj do zrobienia, nie spuszczając nigdy z serca i pamięci, że nie na dzisiaj ale na jutro pracujemy, że zadanie położone pomiędzy Polską a jéj wrogami tylko czyn, poświęcenie i walka ostatecznie rozstrzygnąć mogą.

D. c. n.

OTWARCIE POMNIKA MICKIEWICZA W MONTMORENCY.

W chwili kiedy w Moskwie dopełnia się nowy zamach na braterskie uściśnienie ludów Słowiańskich, kiedy w Paryżu przygotowują się do złożenia urzędowego pocałunku na ustach Cara, z których wionie nienawiść i zniszczenie Polski, duch Mickiewicza wystąpił w całym blasku wielkości swojéj i zaprotestował, w imieniu cywilizacyi i sprawiedliwości, przeciwko téj krwawéj obłudzie Moskiewskiéj i przeciwko temu chwilowemu ale bolesnemu zapomnieniu się urzędowéj Francyi. Kiedy zarządzono otwarcie pomnika Adama Mickiewicza na dzień 21 maja 1867 r., na dzień złożenia corocznego hołdu mężom Polski spoczywającym w Montmorency, nikt zapewne

nie przewidywał, że w tym czasie Moskwa odbywać będzie pansla-wisteczne bankiety i że mordercę Polski czekać będzie tryumfalne przyjęcie w Paryżu. To téż otwarcie grobowca Mickiewicza dziwnym sposobem zamieniło się na jakiś kongres przyszłości Polski, zadający uroczysty fałsz tym, co wątpią o bliskim tryumfie sprawiedliwości i wolności. Nie sama Polska miała swych przedstawicieli na tym kongresie; byli tam wierni zawsze przyjaciele nasi Francuzi, byli Czesi, Węgrowie, Serby i Włosi; brakowało tych tylko, którzy Polskę ciemiężą : Moskali i Niemców. Pan Ludwik Wołowski, członek instytutu francuzkiego, zagaił posiedzenie, a zagaił je tak jak na uczczenie wielkiego mistrza naszego przystało, wydobywając z jego wiekopomnych arcydzieł zbolałą a dumną miłością i wiarą natchnioną harmonią sprawiedliwości i pokoju, która wtenczas dopiero prawdziwie zakwitnąć może, kiedy najwyższa niegodziwość nowych czasów naprawioną zostanie. Pan Wołowski zwracając się do Moskwy powiedział jeszcze jednę wielką prawdę, że Polska, mimo najokropniejszych cierpień swoich, mimo wszelkich zbrodni na niéj dokonywanych, nie wyparła się swojéj chorągwi : "za naszą i waszą wolność," ale przy niéj stoi i stać będzie.

Żałujemy mocno, że żaden głos polskiego poety nie odezwał się na téj uroczystości mistrza poetów polskich. Któż lepiéj od Bohdana Zaleskiego zaśpiewać mógł na tym koncercie wiary i nadziei? Pan Goszczyński, którego religijno-mistyczną rozprawę odczytano, mówił dużo o duchach, o ofierze, a bardzo mało o Mickiewiczu; zaklinał słuchaczów, ażeby nie odstępowali od nauki Chrystusa, od wiary ojców, od katolicyzmu, poprawionego przez Towiańskiego(*). To téż rozprawa jego nierównie właściwsze znalezćby mogła miejsce na pogrzebie któregokolwiek ucznia téj sekty niż na uroczystości otwarcia pomnika Mickiewicza. Za to słuchacze żalem przejęci, sowicie wynagrodzeni zostali silnemi a prawdziwie męzkiemi mowami pana Carnot, byłego ministra francuzkiego, pana Foucher de Coreil, sekretarza komitetu Franko-Polskiego, pana Armand Levy, znanego publicysty, pana Bataillard, mówiącego w imieniu pokolenia, które się wychowało pod ogniem takich ludzi jak Mickiewicz, Michelet, Quinet. W mowach francuzkich szczególniéj uderzał zwrot do przygotowań na przyjęcie Cara, w których upatrywano wielki upadek ducha. "Biada Jerozolimie, biada nam, Francyi!" —wołał pan Armand Levy. Serdeczne i głęboko sympatyczne wrażenie zrobiła mowa Józefa Frycza, powiedziana po polsku tą czeską polszczyzną, która nie traci ani swojego wdzięku ani swojéj powagi, zwłaszcza kiedy wypowiada myśli tak zrozumiałe Polakom a natchnione hasłem Czeskiego narodu : "nie damy się." Pan Iranyi, Węgier, nie znał Mickiewicza, mało co zna z jego dzieł, ale wie, że to był jeden z najzacniejszych, najwytrwalszych mężów Polski, i dla tego przyszedł mu hołd publiczny złożyć w imieniu narodu Węgierskiego, którego współczucie dla Polski, wiekami wyrobione, przechowało się w najwyższéj potędze do dni naszych. Kiedy niedawno temu, przypomniał pan Iranyi, jeden członek prawicy sejmu Peszteńskiego ośmielił się podać w wątpliwość odbudowanie Polski, jednomyślne a najsilniejsze zaprzeczenie dało mu poznać, że naród Węgierski inne ma przekonanie, inną wiarę, gdyż Polska potrzebną jest dla cywilizacyi, sprawiedliwości i bezpieczeństwa Europy. Z głosu młodego Serba, pana Petrowicza, mówiącego swoim ojczystym językiem, to tylko zrozumieć mogliśmy, że i naród Serbski pragnie wskrzeszenia Polski. Na końcu odczytano listy nieobecnych przyjaciół i wielbicieli Mickiewicza, a zatém i Polski, takich na przykład jak Wiktor Hugo, Michelet i Quinet. Deputowany Włoski, pan Mordini nadesłał także list pełen szlachetnych myśli. Pan Mordini, jako człowiek, składa hołd Mickiewiczowi, którego geniusz należy nie do saméj Polski ale do ludzkości; jako patryota Włoski, przychodzi wyrazić wdzięczność żołnierzowi, który w r. 1848 walczył za niepodległość Włoch; jako deputowany narodu oswobodzonego z obcéj niewoli, zaręcza, że Ojczyzna jego nie zapomni w szczęściu tego co w nieszczęściu jéj nadzieje krzepiło. Słowem, dzień 21 maja 1867 roku był dobrym dniem dla Polski i dla solidarności ludów.

(*) Nazwisko to nie było wymówione, ale domyślić się go mógł każden.

WIADOMOŚCI I DONIESIENIA.

W Warszawie z podziwieniem i niedowierzaniem mówią o ścisłéj przyjaźni, jaka miała nastąpić pomiędzy carem Alexandrem a Napoleonem III. Moskale niesłychanie dumni i pewni siebie powiadają, że Francuz się ich uląkł i na wszystkie warunki przystał.

— Pomimo wieści pokojowych Moskwa ciągle gromadzi wojska. Oprócz obozu pod Warszawą, zakładają jeszcze trzy inne, pod Kaliszem, Piotrkowem i Płońskiem. Wojska ze wszech stron tam ściągają, zakupy prowiantów dopełniają się na ogromną skalę.

— Korespondent z Warszawy do *Dziennika Poznańskiego* opowiada ciekawe zdarzenie, za którego autentyczność ręczy. Czynownik jakiś moskiewski, instalując się na komisarza Włościańskiego, miał mowę do zgromadzonych włościan o Carze, o ich szczęściu a w reszcie i o sobie. Pomiędzy innemi powiedział, że był najprzód *liberałem*, lecz to nic nie warto, następnie *ekonomistą*, ale i to nic nie warto, aż nareszcie został wierny Carowi : *ja demokrat*. Naturalnie że włościanie nic z tego nie zrozumieli, jeden wszakże spytany przez obywatela tak odpowiedział : "A dyć tam bajał siła, ale ja jeno to pojąłem, że najpiérw był lokajem i chodził w *liberyi*, potém zrobili go *ekonomem*, ale że w *domu kradł*, wygnał go cysarz i tu na komisarza przysłał." I powiedzcie, czy skreślenie to nie słuszne.

— Na posiedzeniu sejmu Berlińskiego z dnia 7 maja, poseł Marceli Żółtowski złożył nowy *protest* w imieniu swoich kolegów przeciwko konstytucyi wcielającéj Księstwo Poznańskie do rzeszy Północno-Niemieckiéj. Było to naturalne i konieczne następstwo dwóch poprzednich protestów w tymże samym przedmiocie. Tą razą sejm Berliński, mniéj rozmiłowany w polityce Bismarka, okazał się mniéj wstrętnym dla poważnego postępowania posłów Polskich.

— Wiedeńskie telegramy doniosły, że pan Ziemiałkowski, poseł Galicyjski, został mianowany przez cesarza Austryackiego wiceprezesem Reichsratku. Tłómaczy to zmianę w postępowaniu politycznem pana Ziemiałkowskiego, którą wszyscy zauważyli. Też same telegramy doniosły także, że hr. Alfred Potocki ma być mianowany ministrem rolnictwa w Austryi. *Gazeta Narodowa* zbija tę wiadomość twierdząc, że warunki, jakie pan Alfred Potocki podał, nie były przyjętemi. Te dwie wiadomości dowodzą jednak, jaki system przemaga teraz w Wiedniu względem Galicyi. Schlebiać Polakom, przyciągać ich obietnicami i dostojeństwy, a względem gwałtownych reform w sensie narodowym Polskim pozostać głuchym aż do chwili kiedy dawny system uciemiężania przywróconym nie będzie. Czy panowie Galicyjscy zechcą się poznać na tym nowym figlu Habsburgów?

— Po dziennikach niemieckich i francuzkich rozeszła się pogłoska, że pomiędzy Papieżem a Carem nastąpiło jakieś porozumienie. Dowód, że to nieprawda, leży w tém, że Papież wydał świeżo dekret upoważniający księdza biskupa Borowskiego do objęcia zarządu dyecezyi Kamienieckiéj, i żaląc się na niemożność komunikowania się z duchowieństwem katolickiém w prowincyach Polskich, polecił oddać ten dekret do dzienników, ażeby tym sposobem przynajmniéj doszedł do wiadomości biskupa Borowskiego.

— Dziennik *Nord Deutsche Zeitung*, który jest nieprzyznanym wprawdzie ale za to więcéj otwartym organem Bismarka, zamyka swoje junackie uwagi nad dyplomatycznem załatwieniem sporu Luxemburgskiego, wzmianką o następującéj ciekawéj okoliczności : "Wobec faktu wydanych przez rząd Francuzki rozkazów zredukowania armii na stopę pokojową, możemy wspomnieć o pewnéj okoliczności, jako o rzeczy należącéj już do dziedziny historyi i kroniki wypadków przeszłego tygodnia. Oto gdy legion polski miał być utworzony w Paryżu, ażeby go użyć przeciwko Prussom, inny korpus téjże saméj narodowości był blisko zorganizowania we Włoszech pod Mazzinim, ażeby walczyć za Prussami." Spodziewamy się, że i Polacy we Włoszech i Mazzini nie dopuszczą, ażeby ten potworny fałsz był zapisany jako fakt do kroniki przeszłego tygodnia.

Składka na podtrzymanie *Głosu Wolnego* :

Z Paryża :	Krajewski Karol	fr. 1	c. „
„	Szretter Bogusław	fr. „	c. 50
Z Toulouse :	Mickaniewski	fr. 1	c. „

w Drukarni Polskiej, 1, Sandwich Street, Burton Crescent, London. W. C.